

Marcin Kula

Nawet niekulturalne działania
można badać kulturalnie : (Paweł
Machcewicz, „Monachijska
menażeria”. Walka z Radiem Wolna
Europa 1950-1989, IPN, ISP PAN,
Warszawa 2007, s. 442)

Przegląd Historyczny 99/4, 661-669

2008

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

ARTYKUŁY RECENZYJNE, RECENZJE, NOTY RECENZYJNE

MARCIN KULA

Uniwersytet Warszawski, Instytut Historyczny;
Akademia Leona Koźmińskiego

Nawet niekulturalne działania można badać kulturalnie

(Paweł Machcewicz, „*Monachijska menażeria*”. *Walka z Radiem Wolna Europa 1950–1989*, IPN, ISP PAN, Warszawa 2007, s. 442)

Recenzowana książka jest przykładem, iż na materiałach IPN można napisać książkę kulturalną i ożywioną duchem badawczym, a nie prokuratorskim. Jest dowodem, jeśli go trzeba, że z dokumentów IPN można dowiedzieć się bardzo wiele o historii, a zwłaszcza o funkcjonowaniu systemu komunistycznego, bez ulegania ich specyficznemu „czarowi”.

Na wszystkich stronach swojej pracy Paweł Machcewicz pozostaje historykiem. Pomija nawet nazwiska, które najpewniej zna i mógłby podać w negatywnym kontekście, jeśli ich podanie nie jest konieczne dla przedstawienia sytuacji. Gdy sygnalizuje fakty załamania się czy zagubienia ludzi prześladowanych przez SB, nie czyni z tego wyrzutu wobec nich, a raczej wobec ich prześladowców. Gdy mówi o faktach podpisania zobowiązań do współpracy, zadaje pytanie, czy SB rzeczywiście coś z niej uzyskała. Wie, że materiały SB są często źródłem nie do traktowania *in face value*, oraz że czasem są bardziej źródłem do badania mentalności aparatu władzy niż czego innego. Wszystko to dowodzi, że nawet siedząc przez kilka lat w gmachu IPN (będąc wręcz współtwórcą tej instytucji!) człowiek może pozostać kulturalnym historykiem — jeśli tylko chce (bądź jeśli z natury lub wychowania „po prostu” taki jest).

*

Książka Machcewicza na długo pozostanie ważną analizą przykładowego fragmentu działań aparatu komunistycznego wobec niewygodnego dlań fragmentu rzeczywistości. Trzeba pozostawić specjalistom bądź (i) uczestnikom wydarzeń wypowiedanie się odnośnie do szczegółowych ustaleń autora. Nie mając po temu kompetencji, chcę skupić się na kilku szerszych zagadnieniach, które rysują się bardzo ciekawie w świetle przeczytanej analizy.

Podstawowa kwestia, która mnie zainteresowała, to rola ewolucji techniki dla biegu historii — w tym wypadku zarówno od strony nadawania pewnych treści, jak ich zagłuszania. Ciekawe, że nawet drobne cechy istniejących rozwiązań technicznych okazały się ważne dla biegu historii — jak np. to, że w praktyce było trudno zagłuszyć audycje Wolnej Europy. Nie po raz pierwszy okazało się, że silna radiostacja jest dziś ważniejsza od różnego rodzaju akcji politycznych wobec dyktatury. Swego czasu Ryszard Kapuściński zauważył, że w dzisiejszych czasach ośrodki nadawcze radia i telewizji są ważniejszymi celami zamachów oraz obrony niż pałace prezydenckie. Technika jako czynnik

upadku komunizmu wciąż czeka na swego badacza — choć prawdą jest, że jej rozwój sprzyjał też nie-raz siłom represyjnym. Prawdą jest też, że akurat rola radia zagranicznego była różna w różnych krajach obozu zarówno z powodów technicznych, jak głębszych (przypuszczam, że była większa w Polsce niż, powiedzmy, w Mongolii).

W analizie Machcewicza ciekawie rysuje się kwestia, w jakim stopniu oraz w sprawach jakiej skali MSW było samodzielnym kreatorem polityki. To pytanie dotyczy nie tylko polityki wobec Wolnej Europy, ale wszelkiej polityki na różnych szczeblach decyzyjnych. Decyzje w PRL „uzgadniano”. Ten termin nie przesądza jednak kierunku „uzgadniania” i roli poszczególnych partnerów. Ów proces mógł się różnie przedstawiać w zależności od typu spraw, rodzaju argumentów podniesionych przez strony, siły politycznej i osobistej „uzgadniających”, unii personalnych bądź doraźnych sojuszy itd.

Ciekawy jest wielokrotnie wskazywany przez autora fakt przemieszania w działaniach podejmowanych przeciw Wolnej Europie aktywności różnych, zdawałoby się oddzielnych, sektorów życia społecznego. Uczestniczyły w nich MSW, wojsko, PZPR, prasa i dziennikarze, nauka i naukowcy. Uczestniczyła nawet — bezwiednie, przez odpowiedni przydział zakresu fal i zgodę na specyficzny program dla młodzieży — Rozgłośnia Harcerska, której utworzenie myśmy powitali przecież z radością. W ten sposób tworzył się wspólny front esbeków, wojska, ideologów, propagandystów i naukowców, któremu SB podpowiadała to, co chciała.

Niektóre grupy spośród wymienionych są szczególnie interesujące. Np. w wypadku wojska staje pytanie w jakim stopniu było ono siłą samodzielną w stosunku do centrum PZPR, w jakim rozumowało w kategoriach interesu narodu, w jakim tworzyło własną wizję sytuacji, w jakim chcący–niechcący tworzyło rezerwową strukturę do obsługi funkcji cywilnych i zastępczo je spełniało. Odpowiedzi na podobne pytania rysują się oczywiście wyraziście np. w odniesieniu do wojska brazylijskiego oraz dziejów Brazylii, ale nawet wojsko „ludowe” musiało posiadać pewną specyfikę w porównaniu do reszty aparatu partyjno–państwowego.

Ciekawa jest grupa naukowców, jako zamieszana w działania przeciw Wolnej Europie. W tym momencie trzeba, rzecz jasna, wejść w kwestię co było nauką, co było instytucją naukową i kto był naukowcem w PRL. Czy np. Instytut Badania Współczesnych Problemów Kapitalizmu był ośrodkiem naukowym?! Jest oczywiste, że niektórzy naukowcy, uczestniczący w działaniach przeciw Wolnej Europie, byli takimi jedynie z nadanych stopni. Stąd ich działalność, choć kompromitowała naukę, łatwiej przelknąć *ex post*. Niestety życie nie było jednak aż tak piękne. Bywali też bardziej autentyczni naukowcy bliscy rozważanym grzechom. Prawda, że czasem można było brać w czymś udział nieświadomie lub niejako automatycznie. Przez przypadek odkryłem kiedyś, że w programie, w którym uczestniczyłem, brała też udział Akademia Spraw Wewnętrznych — z tematem, rzecz jasna, sformułowanym jako cywilny. No i nie wiem, czy wszyscy, jako aspirujący do naukowej uczciwości, powinniśmy zrezygnować z udziału w jego realizacji w momencie takiego „odkrycia”? W praktyce było to niewyobrażalne. Jeszcze mniej wyobrażalne było odrzucenie oferty Akademii Spraw Wewnętrznych przez koordynatora tematu — nawet gdyby myślał wówczas podobnie do mnie.

Czy nawet uczciwy badacz mógł w ramach uczciwości choćby korzystać z danych uzyskanych przez milicję? Znam wypadek kolegi, który wykorzystał dane o emigracji, dostarczone mu w swoim czasie przez jedno z wojewódzkich Biur Paszportów. Niby nie było w tym nic złego, przecież nawet nie wchodził w indywidualne decyzje emigracyjne. Znam jednak też wypadek amerykańskiego badacza dziejów komunizmu w Brazylii, którego stać było na to, ażeby grzecznie podziękować za dane o ruchu komunistycznym, których udostępnienie zaproponowała mu miejscowa policja w czasach dyktatury generalskiej.

W działaniach państwa przeplecenie się instytucji o jaskrawo różnym charakterze występuje, rzecz jasna, nie tylko w ustrojach dyktatorskich. W krajach demokratycznych czynniki cywilne są nieraz wciągane w działania wywiadu, czy też wojska. Wszędzie zdarzają się celowe niedyskrecje, czy instrumentalne udostępnianie informacji dziennikarzom. Wszystko zależy wszakże od stopnia splecenia działających instytucji oraz od „czystości gry” — nawet jeśli i tak nie pochwalam niejednego wypadku zaangażowania się naukowców np. w agresywną politykę zagraniczną. Ocena musi zależeć od konkretnej sytuacji. Trudno np. krytykować naukowców, którzy współpracowali z armią USA podczas II wojny światowej. W warunkach PRL (a w warunkach ZSRR zapewne jeszcze bardziej) takie splecenie jest jednak argumentem na rzecz tezy o totalitarnym charakterze ustroju w całym czasie jego trwania — do której to tezy skądinąd mam wątpliwości.

*

Kolejne ogólne zagadnienie, które można zaobserwować na kartach książki Machcewicza, także stanowiące *notabene* argument za tezą o trwale totalitarnym charakterze ustroju, to utrzymywanie policyjnej gotowości nawet w dziedzinach, gdzie działalność SB ulegała ograniczeniu. Przysłowiowe „teczki” prowadzono nawet jeśli danych akurat nie wykorzystywano oraz nawet jeśli doraźnie niewiele złego wynikało z tego proceduru. System pozostawał „pod parą”. Od podsłuchu, czy, jak w wypadku Wolnej Europy, od zagłuszania, można było odstąpić — ale to nie znaczyło, że od czegoś odstępowano definitywnie. Gdy uznawano za potrzebne, przywracano zagłuszanie.

Bardzo ciekawa jest podstawowa niezmiennosc strukturalna ustroju komunistycznego. Kwestia, dlaczego on był tak niereformowalny, stanowi jedno z najważniejszych zagadnień jego historii. Należę do historyków, którzy wielokrotnie podkreślali jego zmienność. Podtrzymuję pogląd, że Polska Ludowa za czasów Gierka nie była już Polską Bieruta. Nawet SB i jej ludzie nie działali już tak, jak UB na początku lat pięćdziesiątych. Nowoprzychodzący reprezentowali już inną psychologię. Była to jednak zmiana specyficzna — raczej zmiana *de facto* niż zmiana struktury oraz imponderabliów. Z Wolną Europą walczono — używając tych samych słów — od początku do końca.

Nadto, co też ciekawe, elita rządząca nieustająco znała pewną prawdę o społeczeństwie. Gdy mianowicie chciano przedstawić atrakcyjnie Andrzeja Czechowicza, który „wykonał zadanie” — podkreślano, że „pochodził z ziemiańskiej rodziny, dziadek był powstańcem styczniowym, a ojciec kawalerzystą we wrześniu 1939 r.” Żeby to brzmiało jeszcze bardziej przekonująco, prawie otwartym językiem mówiono, że Czechowicz podczas wojny padł ofiarą sowieckich wywózek (s. 276). Zaskakująco dokładnie te same wątki podjęto po pewnym czasie, gdy chciano polepszyć obraz gen. Jaruzelskiego po wprowadzeniu stanu wojennego. Umówmy się, że prawda materialna była najmniej ważna w tych wypadkach. Za każdym razem była to operacja polityczna. Nagle okazywało się, że w gruncie rzeczy władza wie jak myślą ludzie, a może nawet sama myśli jak ludzie. Nasuwa się wspomnienie jednej z wielu historyjek (pewno wymyślonych) z ZSRR. Mianowicie podczas wojennego głodu jakiś człowiek w kolejce po chleb mówił: „I pomyśleć, że to wszystko z winy jednego człowieka!”. Dwóch panów (towarzyszy) zaprowadziło go na komisariat. Tam usłyszał pytanie: „Kogo mieliście na myśli?” Człowiek, zdziwiony, odpowiedział: „Hitlera!”. Puszczono go. Po paru krokach człowiek stuknął się w czoło i wrócił: „A wyście, towarzyszu lejtnancie, kogo mieli na myśli?”

Prawda, że na przykładzie opowieści o losach Andrzeja Czechowicza i Wojciecha Jaruzelskiego można jednak też pokazać zmienność ustroju. W początku lat pięćdziesiątych Rokossowski był jeszcze „Kostkiem z robotniczej Woli”, a Świerczewski robotnikiem Gerlacha.

Zastanawia, czy podstawowa niezmiennosc nie była jeszcze jednym wyrazem „religiopodobności” komunizmu. Machcewicz z powagą przytacza niektóre partyjne teksty i opracowania, dotyczące strategii wobec Wolnej Europy, jako rzeczywiście świadczące o tej strategii. Tymczasem w wielu

wypadkach było to powtarzanie tej samej melodii, do której autorzy i odbiorcy byli przyzwyczajeni, a może nawet jedynie taką melodię znali. Znakomita większość ludzi przynależnych do aparatu partyjnego była na takim poziomie intelektualnym, że ani po stronie twórcy, ani po stronie odbiorcy, nie zapalało czerwonego światła napisanie mądrości w rodzaju: „Na podstawie dostępnych materiałów źródłowych nie można jednoznacznie ustalić szczegółów dotyczących związków Radia Wolna Europa ze służbami specjalnymi państw NATO. Ogólnie można stwierdzić, że takie powiązania muszą istnieć” (s. 355). Tym ludziom nie przypominała się smętna historyjka z 1968 r. — jak to, rzekomo, czy prawdziwie, po obaleniu wszystkich zarzutów wyrzucany pracownik usłyszał: „No to usuniemy Was za całokształt!”. Co nie najmniej ważne, pisanie takich tekstów było sposobem na życie dla zainteresowanych. Co oni by robili, gdyby ich nie pisali? Co by robiła ta cała masa esbeków, „badaczy” i propagandystów, gdyby nie było Wolnej Europy?

Powtarzalność takich tekstów świadczy oczywiście o nieewolucyjności systemu, ale nie zawsze powinny być one brane *in face value* jako wyraz intencji — raczej jako objaw (prawda, że objaw ciężkiej choroby). To był teatr, w którym pewne rzeczy należało powtarzać. W tym środowisku pewne role trzeba było odgrywać, trzeba było walczyć (!) dla własnego sumienia, dla wykazywania się przed kolegami, trzeba było być przynajmniej pozornie gorliwym. W wewnętrznym okólniku (nie tylko dla mas) trzeba było używać strasznego języka wobec Wolnej Europy — a walka z nią była o tyle wygodna, że dawała się prowadzić z ciepłego gabinetu i miękkiego fotela. Przecież prawdziwie niebezpiecznych operacji na Zachodzie prowadzono stosunkowo mało.

Warto mieć też na uwadze, że ze strony publiczności (jak ją zresztą oddzielić od władz?) słuchanie Wolnej Europy także było odgrywaniem pewnej roli w sensie goffmanowskim. Zwłaszcza w okresach niecharakteryzujących się wyraźnym napięciem, słuchanie nie służyło jedynie poznaniu pewnych treści. Stanowiło swoistą demonstrację (choćby dla siebie samego!), było „draczne”. Także niszczenie zagłuszarek w 1956 r. nie wyrażało jedynie walki o możliwość słuchania Wolnej Europy. To była demonstracja przeciw ustrojowi, jedna z niewielu dostępnych, a o tyle szybko rodząca się, że zagłuszarki stanowiły cel bardzo wyraźnie zdefiniowany. Nawiasem mówiąc, w Warszawie zagłuszarki potocznie nazywano niekiedy „Radiostacjami im. Mariana Buczka”.

Dopatrywanie się i zwalczanie wrogów było jednym z elementów niezmiennych komunizmu. Był to czynnik legitymizujący mnóstwo posunięć, a z drugiej pozwalający wyjaśniać wiele kłopotów. Jak władze wyjaśniłyby np. list 34, gdyby nie mogły mówić, że było to, z grubsza biorąc, dziecko Wolnej Europy? O ile wygodniej było mówić o roli Wolnej Europy w wybuchu społecznym 1970 r. niż o prawdziwych przyczynach! Z punktu widzenia potrzeby istnienia wrogów Wolna Europa, choć ni by będąca wrzodem, by jednak wygodna. To było jeszcze lepsze niż „syjoniści”, choć najlepiej było łączyć jedno z drugim.

Kampania przeciw „syjonistom” stwarzała kłopoty na Zachodzie, kampanie przeciw Wolnej Europie praktycznie nie. Wroga radiostacja nie strzelała, w minimalnym stopniu pociągała też organizowanie się ludzi w kraju. Pozwalała podnosić w propagandzie tezę, że to rewizjoniści niemieccy atakują — co było bardzo ważne z punktu widzenia motywacji samego aparatu partyjno–państwowego do działania.

Jednocześnie nawet w odnoszeniu do Wolnej Europy pojawiały się zmiany. W świetle wywodów Machcewicza Gierek walczył z Wolną Europą jak Gomułka, a może bardziej. Nawet pod sam koniec komunizmu planowano jeszcze jakieś operacje przeciw Wolnej Europie, a Jerzy Urban chciał odbyć pojedynek dyskusyjny z kimś stamtąd. To oczywiście świadczy o sklerotycznej niezmienności. Jednocześnie wszakże przynajmniej forma była jednak wyrazem ewolucji — a w systemie religopodobnym ewolucja formy jest zawsze ważna. W dawniejszych czasach, nie mówiąc

o stalinowskich, nie byłoby ani zjawiska „Urban”, ani nawet teoretycznej możliwości jego polemiki *face to face* z kimś z Monachium.

*

Przy lekturze recenzowanej książki nasuwa się wiele obserwacji odnośnie „wspólnoty” państw socjalistycznych. To, że „blokowiska” i struktury Akademii Nauk rysowały się identycznie, jako wzorowane na ZSRR, było dla nas oczywiste. Tego, że służby bezpieczeństwa były zorganizowane według tych samych wzorów, oraz tego, że współpracowały nawzajem ze sobą, mogliśmy się łatwo domyślać — a od pewnego czasu zostało to już potwierdzone źródłowo. Stale jednak zdumiewa w jak wielu sprawach występowało podobieństwo pomiędzy krajami obozu. Przyznaję, że nie wyobrażałem sobie, jak wiele krajów socjalistycznych wykreowało swojego „kapitana Czechowicza”. Za obserwacją, że uczyniło to kilka z nich, przychodzi jednak następne pytanie: czy poszczególne kraje „wspólnoty” mogły wnieść wkład do jej funkcjonowania? „Kapitan Czechowicz”, który „powrócił po wykonaniu zadania”, był, jak się zdaje, polskim wynalazkiem. Internacjonalistyczny charakter realizacji tego pomysłu zdaje się sugerować pozytywną odpowiedź na postawione pytanie. Poważnie mówiąc, jest to jednak zagadnienie do przesłедzenia nie tylko na bardzo specyficznym polu służb represyjnych. Oczywiście źródło doktryny było w Moskwie, a wszystko, co się rodziło gdzie indziej, było zasadniczo herezją. Jednak wzór kadarowski służył gen. Jaruzelskiemu, węgierskie reformy ekonomiczne ułatwiały niektóre zmiany w Polsce itd. Jest też pytaniem w jakim stopniu elity władzy współpracowały z poczuciem ludzkiej bliskości, a w jakim bały się siebie nawzajem. Podejrzewam, że Gierek nie chciał procesu opozycji, czy procesu współpracowników Wolnej Europy, nie tylko ze względu na Zachód, ale ze względu na ZSRR (w Polsce miało być dobrze!). Prawda, że procesu „Ruchu” nie mógł uniknąć też ze względu na ZSRR — ale w tym wypadku wchodziła w grę próba podpalenia Muzeum Lenina w Ponorinie.

Postawione pytania prowadzą do fundamentalnej kwestii podobieństw i różnic krajów obozu. Machcewicz stwierdza, że Polska była najaktywniejsza w zwalczaniu Wolnej Europy. Zważywszy na ogromną bazę źródłową, jaką przebadał, można mu wierzyć. Prawda jest jednak taka, że w ogromnym stopniu tłumaczyło się to stosunkowo największym odejściem PRL od modelu stalinowskiego. Tu władze, a zwłaszcza SB, najbardziej odczuwały potrzebę tej walki — co zresztą autor sam zauważa (s. 405). W innych, bardziej zaawansowanych w kierunku przodującego ustroju krajach, ta potrzeba była mniejsza. W końcu w ZSRR zniknęła nawet oficjalna instytucja cenzury. Analogicznie ekipa gierkowska odczuwała bardziej potrzebę walki z Wolną Europą niż gomułkowska, bowiem kontakty z Zachodem liberalizowano.

*

Przy czytaniu recenzowanej książki ciekawie rysuje się kwestia sposobów myślenia elity komunistycznej. Zdumiewa jak w gruncie rzeczy bano się Wolnej Europy. Przecież podobno PRL była silna. Tymczasem „oni” bali się byle słowa — nie tylko zresztą płynącego przez radio. Bali się po prostu wszystkiego, nad czym nie panowali. Wściekłość, że Zdzisław Najder został szefem rozgłośni w Monachium wynikała, moim zdaniem, z tego, że stanowisko to objął człowiek z kraju, a więc było oczywiste, że „oni” nad czymś nie zapanowali (że władza przynajmniej na moment wymknęła im się z rąk!). Tak samo zresztą pewno tłumaczyła się, przynajmniej częściowo, wściekłość, że z Wolną Europą mógł współpracować Władysław Bartoszewski — czyli człowiek fizycznie pozostający pod „ich” kontrolą.

Elementem „ich” myślenia była mitologizacja po trosze wszystkiego — poczynając od sukcesów gospodarczych, a potem rzekomo cudownych sposobów na uzdrowienie gospodarki w postaci kolejnych komisji jakoby rozwiązujących problemy. „Oni” wierzyli w dane i sprawozdania, które sami pisali — mitologizując je. Myśmy często sądzili, że „oni” mają jednak dane prawdziwe, tylko je ukrywają — ale tak nie było.

Istotna była zwłaszcza mitologizacja wrogów. Przecież Wolną Europę „oni” też mitologizowali, wręcz „demonizowali” ją (s. 338). Ciekawe, czy tak działo się we wszystkich dziedzinach życia? Z tego, co z grubsza wiadomo, sprawia wrażenie, że przynajmniej wywiad ZSRR chodził po ziemi. Przecież jednak łatwo wskazać sytuacje, gdy mity przeważały także nad danymi uzyskanymi tą drogą (1941!).

Ciekawe, że ludzie nami rządzący źle odczuwali ataki Wolnej Europy w kategoriach osobistych. Jest to sprawa ważna dla ewolucyjności komunizmu bądź jej braku, stanowiąca argument za pierwszą oceną. Znaczna część komunistycznego *establishmentu* w Polsce stopniowo, mimo wszystko, odeszła od wzoru stalinowskiego aparaczyka. Tu ludzie aparatu byli, wbrew pozorom, niepewni, z kompleksami. Żyli bliżej ludzi „z miasta” niż kremlowscy aparaczczyki. „Nasi” aparaczczyki mieli kompleksy na punkcie zaprzaństwa narodowego. Ani Stalin, ani Chruszczow nie byłoby zapewne tak wrażliwi na postawiony przez kogokolwiek zarzut braku uczestnictwa we wspólnocie narodowej. Tu zaś w początku ustroju słyhać było zdanie Gomułki „Niech nas nienawidzą jako komunistów, ale jako polskich komunistów”, a potem Gomułka miał za złe prymasowi Wyszyńskiemu, że ten nie doceniał jego patriotycznej ofiary i dokonań. Jeszcze później, w Stoczni Gdańskiej, wicepremier Jagielski gotów był ściągnąć koszulę, by pokazać blizny na plecach, pozostałe po tym, gdy hitlerowcy bili go jako Polaka. Pod koniec komunizmu gen. Jaruzelski przedstawiał się bardziej jako obrońca Polski niż komunizmu.

W czasach stalinowskich żaden funkcjonariusz partyjny (ze Stalinem na czele!) nie przejąłby się w ogóle atakami z Monachium — raczej traktowałby je jako pozytywny punkt w życiorysie. Podobnie zresztą przedstawiała się sprawa reakcji na opinie i posunięcia państw zachodnich. Ewolucja komunizmu musiała zajść już bardzo daleko, skoro *establishment* komunistyczny miał względ na ich stanowisko. Skoro z uwagi na Zachód elita ustroju powstrzymywała się nie tylko przed generalną rozprawą z opozycją (*vide* np. odstąpienie od zarzutów wobec Jana Józefa Lipskiego, Jacka Kuronia, Adama Michnika, amnestia 1977 r.), ale, jak sugeruje autor (s. 328), powstrzymywała się nawet przed zablokowaniem telefonu w mieszkaniu Jacka Kuronia, to musiała już być mało komunistyczna. Niech wyrok śmierci na Zdzisławu Najderze nie myli w kwestii ostrości systemu. Został on przecież wydany łatwo o tyle, że nieobecność skazanego uniemożliwiała wykonanie go. Gdyby Zdzisław Najder siedział za kratami, wykonanie byłoby trudne ze względu na Zachód, a więc prościej byłoby wydać wyrok oczywiście surowy, ale nie ostateczny.

*

Sprawą związaną ze zróżnicowaniem ustroju w poszczególnych krajach obozu, a pewno także z jego ewolucją w czasie, jest widoczna w książce kwestia „socjalistycznej praworządności”. Jej charakterystyka to rzecz ważna i intrygująca od najgłębszych czasów komunistycznych. W wielu świadectwach o stalinowskich śledztwach zdumiewa, jak to śledczy dbali o podpisanie zeznania przez samą ofiarę. Odnotowano przypadki, gdy wręcz wkładali pióro w ręce człowieka tak zmaltretowanego, że nie miał siły go utrzymać i, wodząc jego ręką, doprowadzali do własnoręcznego złożenia podpisu. Po co to było? Przypuszczam, że z jednej strony wynikało to z wagi przypisywanej przez prostych ludzi do pisma; z drugiej — z parareligijnej koncepcji potrzeby przyznania się winowajcy do

grzechu, z trzeciej — z chęci oddziaływania na sam aparat policyjno–partyjno–państwowy, ażeby ten wierzył w bzdury i ustrój (przecież oskarżony przyznał się, przecież jesteście praworządni!).

Jednocześnie wszakże aparat stalinowski mógł, jak wiadomo, zrobić z podsądnymi co chciał. Według pewnego świadectwa Stalin, słysząc o odmowie przyznania się jednej z ofiar do zarzucanego jej czynu, zapytał referującego współpracownika ile waży cały ZSRR. Ten najpierw nie wiedział co odpowiedzieć, a potem wyjąkał, że zapewne bardzo dużo. Na to Stalin zapytał: „No i co, czy ten ciężar nie może zgnieść jednego człowieka?” (cyt. z pamięci). Współpracownik oczywiście zrozumiał co należy dalej robić. Tymczasem w przypadkach analizowanych przez Machcewicza przepisy prawne i materiał dowodowy odgrywają zdumiewająco dużą rolę. Przeciw Bartoszewskiemu i jego współpracownikom szuka się dowodów i zastanawia się, czy są wystarczające. Potem z kolei szuka się prawnych sposobów, by zamknąć tę sprawę — co jest już tragikomiczne. Na jakimś zamkniętym (!) procesie chce się jednak coś udowodnić. Tymczasem to wszystko dzieje się w warunkach trwającej do 1989 r. sytuacji ręcznego sterowania wymiarem sprawiedliwości w sprawach politycznych oraz gospodarczych większej wagi. Trudno więc zrozumieć tę „socjalistyczną praworządność”. Widać w latach siedemdziesiątych należało jednak dbać bardziej niż dawniej przynajmniej o uprawdopodobnienie pozorów. Jakaś ewolucja jednak następowała nawet w aparacie wymiaru sprawiedliwości. Przecież w warunkach stalinowskich człowieka podejrzanego (na dodatek zasadnie!) o dostarczanie wiadomości Wolnej Europie (takiego jak Władysław Bartoszewski!) czekałby straszny los. Istotne, że ta ewolucja otworzyła pewne szczeliny dla działania ludzi. Była znacznie ważniejsza niż wtedy dostrzegaliśmy.

*

Ciekawa jest widoczna u Machcewicza duża rola drogi dziejowej Polski dla kształtu realnego socjalizmu i jego *frères ennemis*. Robi wrażenie jak z obu stron — nielegalnej krajowej oraz monarchijskiej — współpracowali ludzie wyrosli w AK. Ciekawie rysuje się także rola przemiany pokoleniowej. Warto byłoby dalej drążyć konsekwencje zaznaczonego przez Machcewicza zagadnienia zmiany pokoleniowej w Wolnej Europie, związanej nie tylko z biologią, ale z kolejną falą emigracji z Polski. Rytm przemiany pokoleniowej to zresztą jedno z fundamentalnych zagadnień dla ewolucji sytuacji wewnętrznej w Polsce. Nie jest nowością stwierdzenie, że w Polsce każde pokolenie miało swoje doświadczenie kryzysu komunizmu, a najmłodsze pokolenie kontestacji miało jeszcze szanse zetknąć się i stykać się z pokoleniem oporu okupacyjnego. O skutkach zmiany pokoleniowej trzeba jednak pamiętać także przy przyglądaniu się drugiej stronie — elicie komunistycznej. Mimo całej gerontokracji zmiana miała wpływ na wspomniane wyżej przykłady ewolucji funkcjonowania PZPR — wprowadzając do aparatu ludzi często może bardzo złych w różnych aspektach myśli i zachowania, ale jednak po prostu innych niż ci z okresu bezpośrednio powojennego (upraszczając: pojawiła się przewaga cyników, miło żyjących w doczesności, a mniej przejętych przyszłością doktrynalnego socjalizmu). Owa zmiana miała wpływ na ewolucję UB/SB. Z dwojga złego lepiej było mieć do czynienia z urzędnikiem choć trochę ociosanym na Wydziale Prawa lub Historii i chcącym iść do domu po końcu pracy, niż z prymitywem lub zideologizowanym maniakiem z dawniejszego okresu.

*

Przy lekturze Machcewicza robią też wrażenie rzeczy może niekoniecznie nawet nieznanne, ale jakby sprzeczne z naturą. O przejmowaniu się *establishmentu* komunistycznego tym, co mówiła Wolna Europa, już wspominałem. Podobnie można wskazać manipulowanie Wolną Europą przez celowe niedyskrecje ze strony tychże ludzi. Z drugiej strony, od strony Monachium, można wskazać

kontakty Wiktora Trościanki z komunistycznym aparatem (wojskiem) — robione nie dla jakiejś gry taktycznej, ale z przekonania człowieka orientacji nacjonalistycznej. Okazuje się, że w pewnych sytuacjach *les extrêmes se touchent* — zwłaszcza, gdy na skutek ewolucji ustroju oraz, najpewniej, zmiany pokoleniowej, z części ludzi, funkcjonujących w istotnych kręgach władzy w Polsce zeszedł marksistowski werniks. Także gdy jako marksizm zdefiniowano praktycznie otwarcie, bez poprzednich osłonek, to, co dobre dla rządzących osobiście oraz dla ich politycznego interesu, a spod czerwonego zaczęły wychodzić inne kolory. Wtedy taki kontakt — oczywiście tylko z niektórymi siłami wśród emigracji polskiej na Zachodzie i *vice versa* — może przestał być sprzeczny z naturą. Prawda, że w samej Polsce u schyłku komunizmu pojawiały się myśli, ażeby dogadać się z wojskiem jako potencjalną przeciwwagą PZPR oraz SB, a także jako z siłą żywiącą, być może, frustracje wobec wojskowych towarzyszy radzieckich. Chyba takie pomysły były utopijne, ale na ich tle rozmowy Trościanki rysują się mniej dziwnie.

Pojawiają się też w książce Machcewicza informacje, które odbiera się właśnie jako zgodne z naturą — takie, przy których wzrusza się ramionami i mówi „zawsze to wiedziałem”. Zaskakuje, w jak małej liczbie osób wymienionych jako znaczący współpracownicy SB (w sprawach Wolnej Europy) jest się zdziwionym. Oczywiście nie wiedzieliśmy dosłownie o kontaktach tych osób z SB, ale ich sylwetki były na tyle wyraźne, że rysowali się oni jako ludzie władzy w jej najgorszych segmentach i w najgorszych okresach. Wówczas podejrzewaliśmy ich po prostu o wszystko, więc nie zaskakuje nas, gdy dziś poznajemy prawdę. Wśród „bojowników” zaangażowanych w ramach SB przeciw Wolnej Europie chyba nie napotykamy takich ludzi jak Kazimierz Koźniewski, czy jak historyk prof. Andrzej Feliks Grabski, których zdemaskowanie dziś jako współpracowników SB jest szczególnie bolesne i przykre (w wypadku Koźniewskiego przykre nawet mimo redaktorstwa „Tu i teraz”!).

*

Na ogół trudno jest wskazać końcową cezurę epizodu historycznego. W wypadku analizowania stosunku PRL do Wolnej Europy jest to jednak wyjątkowo łatwe — bowiem w naszej części świata komunizm, jak wiadomo, „po prostu” upadł. Byłoby natomiast ciekawe prześledzenie dalszych losów bohaterów historii analizowanej przez Machcewicza. Niektóre spośród najważniejszych nazwisk ze strony przeciwników komunizmu są wciąż obecne w naszym życiu intelektualnym i politycznym (np. Władysław Bartoszewski, Zbigniew Najder, Stanisław Salmonowicz...). Mniej widzi się ludzi, którzy byli bezpośrednio po drugiej stronie. Przegrane małe postacie najczęściej ulegają zapomnieniu — zwłaszcza, gdy na nic lepszego nie zasługują. W jednym wszakże wypadku swój dalszy los w pewnym sensie opisała sama osoba, która działała przeciw Wolnej Europie — a mianowicie Andrzej B r y c h t. Był to znany pisarz drugiej połowy lat sześćdziesiątych. Co rzadkie, jego utwory („Dancing w kwaterze Hitlera”, 1966; „Raport z Monachium”, 1967), będąc bliskie ówczesnej ideologii PZPR, a zwłaszcza prącym wówczas do przodu „partyzantom”, stały się jednocześnie popularne. Pisarz zrealizował więc rzadko osiąganą marzenie elity partyjnej o własnej literaturze, która trafiłaby „pod strzechy”.

Otóż, jak pisze Machcewicz, Brycht był gorliwym współpracownikiem SB (s. 213) — także w sprawach Wolnej Europy. Potem, w konsekwencji swego temperamentu, zadrażnionej ambicji, pewno także jej przerostu, wszedł w konflikty z SB. Ostatecznie w 1971 r. pozostał na Zachodzie, gdzie poprosił o azyl polityczny. W 1988 r. wrócił do Polski. Opublikował tu paszkwil na całą emigrację, w tym na ludzi, którzy chcieli mu pomóc („Azyl polityczny”, 1989). Bohater tej książki (autor?) źle myślał i źle mówił o wszystkich. O komunistach oraz o ich emigracyjnych wrogach. O literatach w kraju oraz o eminentnych twórcach polskiej kultury na emigracji. O ludziach żydowskiego pochodzenia, wygrzyżanych w 1968 r., oraz o karierowiczach, chwytających wówczas okazję.

O stalinowcach, którzy *de facto* pozostali stalinowcami, oraz o tych, którzy przejrżeli. O wielkich tego świata oraz o małych. O elicie oraz o ludziach prostych.

Uznania bohatera (autora?) nie znalazł nikt. Nie było w tej książce człowieka i nie było grupy, do której by się po jego ataku nie przykleiło trochę błota (w języku książki raczej zresztą nie tyle błota, ile, *excusez le mot*, trochę g...). Autor obnażał wszystkich namiętnie i osobiście. Ze zdumiewającą lubością pokazywał, jaką marnością jest w gruncie rzeczy — według niego — każdy wspomniany w tekście człowiek i każda grupa ludzka.

Nie pierwszy Brycht rozczarował się do świata i nie on pierwszy wybrał wycofanie się (w książce w postaci wyjazdu do Kanady) jako rozwiązanie. Wszyscy mnisi i pustelnicy też odsuwali się od doczesnych marność, by żyć czystszy życiem. Wyzwolenia ze stosunków krępujących ciało i duszę szukali ludzie uczestniczący w niejednym masowym ruchu migracyjnym. Iluś odkrywców — jak podejrzewam — wyruszyło na swe wędrówki, gdyż mieli dosyć naszego zgniłego padółu. Kiedyś zapytałem kolegę, który uczestniczył w wyprawie na Mount Everest, jak wśród tych wszystkich polskich problemów jest w stanie zebrać myśli i siły, by wspinać się na taką górę. Odpowiedział: „Żebyś ty wiedział, jak małe zdają się stamtąd te nasze problemy”.

Przecież jednak ci wszyscy ludzie nie pokazywali języka całemu światu pozostawianemu za sobą. Bohater Brychta (sam Brycht?) pokazuje język wszystkim. W odróżnieniu od Einsteina ze znanego zdjęcia, nie ma jednak do zaferowania światu ani teorii względności, ani niczego podobnie wielkiego. Ma tylko gryzącą frustrację, która prowadzi go do przeakcentowywania czasem nawet prawdziwych wad ludzi i środowisk.

W „Azylu politycznym” nie ma wyrazu sympatii chyba dla nikogo — z wyjątkiem jednego ciepłego zdania o dziewczynie, która wprowadziła bohatera w życie seksualne. Bohater (autor?) to nie Kafka przerażony światem. To nie Robespierre, chcący świat przemeblować. To człowiek rozwścieczony tak, jak może być rozwścieczony głęboki frustrat.

Autoportret, jaki autor zarysował (bo to najpewniej autoportret!) nadawałaby się na powiastkę dydaktyczną o tym, jak nie należy przyłączać się do złego dzieła — bowiem można fatalnie skończyć. Także, paradoksalnie, nadawałby się na obrazek peerelowskiej propagandy o bankructwie tych, którzy „wybierali wolność”.

* * *

Damian Pałka, *Kościół katolicki wobec Żydów w Polsce międzywojennej*, Zakład Wydawniczy „Nomos”, Kraków 2006, s. 413.

Mamy przed sobą pracę oczekiwaną; postulat badawczy wypełnienia w tym właśnie zakresie luki w polskiej historiografii stawiał swego czasu piszący te słowa¹. Zresztą Damian Pałka przynajmniej

¹ K. Lewalski, *Kościół chrześcijański w Królestwie Polskim wobec Żydów w latach 1855–1915*, Wrocław 2002, s. 280–281. D. Pałka omawiając literaturę przedmiotu, docenia wartość mojej pracy, a jednocześnie stwierdza, że praca ta „wydaje się miejscami powierzchowna” (op. rec. s. 17). W związku z tym chciałbym zwrócić tylko uwagę, że we „Wstępie” do tej książki, mając świadomość potrzeby dalszych badań oraz zwracając uwagę na przeszkody w dotarciu do źródeł, wyraźnie pisałem w imię badawczej rzetelności: „Zakres spraw poruszonych